ROK CZWARTY.

№ 50.

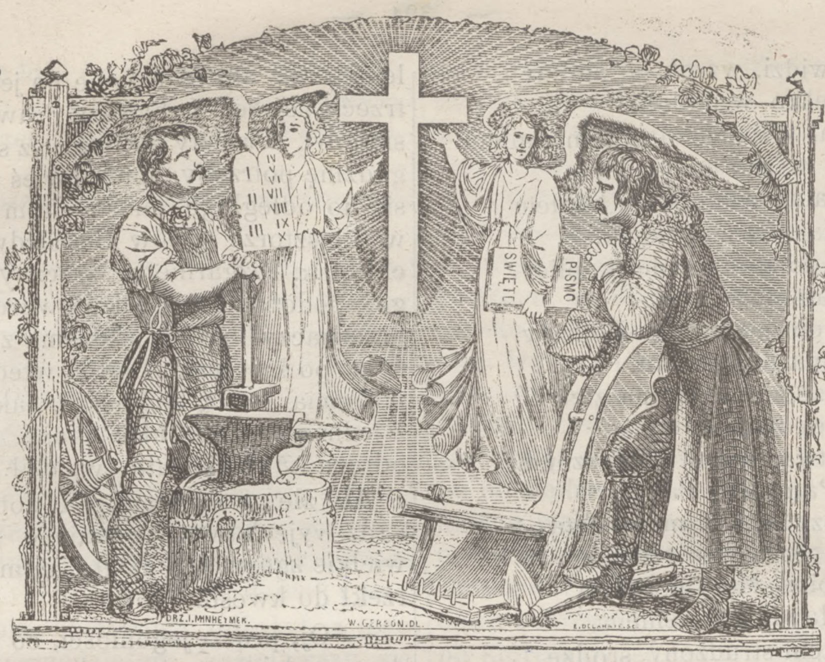
WARSZAWA

D. 29 listopada (11 grudnia)

1859.

Niedziela

3cia Adwentu.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie; lecz podług nowych przepisów, w jednej kopercie jeden tylko egzemplarz Czytelni, tak jak każdego pisma peryodycznego, przesyłany być może.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Panie, udziel miłosiernego posłuchania modlitwom naszym, a ciemnoty umysłu naszego przez nawiedzenie twej łaski racz oświecić. (Kollekta na Niedzielę trzecią Adwentu.)

Lampka w kaplicy.

Wśród ostrej zimy, śnieżnej zamieci,
Zbyt długo w drodze wstrzymany,
Z koszem na plecach, do żony, dzieci
Powracał kmiotek zbłąkany.
Drżący od zimna, zmęczony, blady
Próżno chciał krzepić moc ducha;
Śnieg wszystkie drogi zapruszył ślady,
W powietrzu wciąż zawierucha.
Wiatr tylko huczy pośród milczenia,
Przejmując członki nieznośnie,
Lub w lesie, co brzeg drogi ocienia,
Sowa się ozwie żałośnie.
Ha! rzecze chłopek z sercem ściśnionem,
Widzę, że umrzeć tu muszę;
Niechże przynajmniej przed moim zgonem
Bogu polecę swą duszę.
A nim mi zimno czucie odbierze
I sił mi wydrze ostatki,
Po raz ostatni zmówię pacierze
Do Boga Najświętszej Matki:
„Matko Chrystusa, niebios królowo!
O twoję błagam przyczynę,
Gdy mi Bóg nie da widzieć jej zdrowo,
Tobie mą zlecam rodzinę.
Gdy umrzeć Boska każe mi wola,
Do Ciebie modlę się w skrusze,
Przyjm w swą opiekę sierot mych pola
I broń od zguby ich dusze;
A jeśli kiedy Najświętsza Panno,
Złym żądzom popuszczą wodze,
Bądź im natenczas gwiazdą zaranną,
I przyświeć na życia drodze.“
Tu głośne łkanie z piersi dobyte,
Modły biedaka przerwało,
A jego serce bólem przeszyte
Błogiem przeczuciem zadrżało.
O! cóż za radość w tej strasznej chwili,
Gdy tonął w zwątpienia fali,

Ujrzał, tak, widzi, wzrok go nie myli,
Jakieś światełko w oddali.
Więc powstał z ziemi i dawnym śladem
Szedł prosto wśród nocy cienia,
Kędy mu zdala światełkiem bladem
Świeciła gwiazdka zbawienia.
Tak doszedł do stóp znanej kaplicy,
Co w polu samotnie stała,
Gdzie przed obrazem Boga-Rodzicy
Maleńka lampa błyszczała.
A więc obliczem padłszy na ziemi,
Za ten ratunek zesłany
Korną modlitwą, łzami wdzięcznemi
Dziękował Panu nad Pany.
I otrząsnąwszy odzież zmarzniętą,
Z radośnem serca wzruszeniem
Królowę niebios, Maryję świętą
Pobożnem sławić jął pieniem.
Niedługo potem strudzony srodze
Stanął wśród swojej rodziny,
Gdzie w wypoczynku po przykrej drodze
Słodkie odzyskał godziny.
Odtąd niezmiennie w każdą sobotę
Ku czci Najświętszej Dziewicy,
Kiedy Bóg zesłał zamieć lub słotę,
Zapalał lampę w kaplicy:
Aby gdy w drodze kogo zatrzyma
Okropność burzy i cienia,
Jak jemu niegdyś, oczom pielgrzyma
Zabłysła gwiazdką zbawienia!

Woźnica kwestarski.

W jednej wsi oczynszowanej w gubernii Płockiej gospodarował Antoni Sowa ze starą matką; był on najlepszym synem, gospodarzem zabiegłym i oszczędnym. Przyszedł czas, że rodzicielka jego poszła spocząć po trudach żywota w mozole spędzonego na cichy cmentarz, co poza wsią stał nauboczu. Antoni z wielkim żalem pochował ją uczciwie, i jakoś w domu po śmierci jej osiedzieć się w żaden sposób nie mógł; zawsze mu staruszka stała na oczach, a kąty osierociałe nieznośnie pustemi się zdawały. Radzili mu sąsiedzi, by dla uśmierzenia tęsknoty ożenił się, ale Antek i słuchać o tem nie chciał. Lepiej, odpowiadał rającym, pójdę w świat; poznać ludzi nie zawadzi nigdy, i lepiej, niż oto całe życie na jeden węgieł patrzeć i patrzeć. I zbywszy praw do kolonii sąsiadowi, a wzięty za to grosz schowawszy na godzinę potrzeby, opuścił wieś rodzinną. Udał się do odległego miasta i tam przyjął służbę w klasztorze ojców Bernardynów. Usłużny chłopak, rozgarnięty, zręczny do wszystkiego, podobał się księdzu gwardyanowi, który przeznaczył go do jeżdżenia z ojcem Bonifacym po kweście. Miał-ci wtedy Antek pole poznania ludzi, bo zaczął, jak to mówią, nie z jednego pieca chleb jadać. Wyjechawszy, odrazu kawał świata zwiedził.

Ale złe go nie psuło, a dobre budowało, i raz wyjechawszy z takiego miejsca, gdzie wielkie zgorszenie działo się między sługami, rzekł do kwestarza:

— Oj, proszę jegomości, co też to się w tym dworze dzieje, to i strach mówić; toć tam ludzie widno nie wiedzą, że jest Bóg i rządzi wszelaką rzeczą.

— A cóż tam się dzieje? zapytał kwestarz.

— Tam proszę jegomości okradają słudzy państwa i piją siarczyście.

— Kary Boskiej się nie boją, odrzekł ojciec Bonifacy.

— Oj, że nie boją, to nie boją — ale niechno jegomość powie, mówił dalej Antek, co tacy ludzie sobie myślą?

— Myślą, odrzekł kwestarz, skończyć na gałęzi lub pod ławą w karczmie. A wszystkiemu winni rodzice, mój miły bracie. Zamłodu nie chowają dzieci jak należy, dają im złe z siebie przykłady; biedne dziatki od młodości też patrzą na ich same zdrożności, i cóż niebożęta robić mają lepszego, kiedy ci, którychby powinni uważać za swoich bogów, bo dla dziatek ojciec matka to bóstwo ziemskie, samych niegodziwości dają im z siebie przykłady? I ztądto owi bezczelnicy, którzyby z ołtarza święconego zdjęli na kieliszek wódki, drudzy znów łakomce, co kradzieżą chcą się bogacić, których rodzice chowając, nie nauczyli przykazań Boskich; nie wierzą też, że Bóg kradzieży przykazaniem swojem zabronił, i dorabiają się z krzywdą pańską łatwo dostatków. Ależ to na nic się nie zdało.

— Oj, co nie zdało, to nie zdało, rzekł Antek; lekki to grosz proszę jegomości, z wiatrami

gdzieś w świat leci, i plami czyste ręce, a najmilszy ten, co sobie człek uczciwie zarobi; miło nań spojrzeć... a ciężki... nie leci z wichrami do czarta.

— Masz słuszność, odpowiedział ojciec Bonifacy.

— To strach, co się to tam dzieje, mówił dalej Antek. Toć furmanisko namawiał mnie, abym oto pousypywawszy ziarna z worów, co nam panowie dają na klasztór, poszedł z nim do karczmy. Człowieku, rzekłem, żegnając się, czy myślicie, że Boga niema sprawiedliwego, że wy mnie do takiej niecnej rzeczy namawiacie? Przeżegnajcie się lepiej, by od was czart kusiciel odleciał. Głupiś, rzekł mi; Maciej, co tu przed wami jeździł z kwestarzem, to zawsze tak robił: i napił się dowoli i jeszcze grosz sobie na starość odłożył z tego. O! ma go, odpowiedziałem, zaśmiawszy się, bo mu ręce obie odjęło, widno za odwiązywanie worków, i siedzi teraz pod kościołem; nie doniesie do gęby nietylko kradzionego chleba, ale i żebrackiego, tylko go oto ludzie karmią. Zadziwował się łotr i odszedł odemnie; a ja proszę jegomości nie spałem przy koniach, jeno się na furze ze zbożem położyłem, aby ten nicpoń sam nie pousypywał ziarna i nie zaniósł na gorzałkę.

— Dobrze mój miły bracie postępujesz, rzekł kwestarz do swego woźnicy; poczciwa cię widno matka wychowała i dała ci większe nad złoto bogactwo.

— A ty nie lubisz wódki? zapytał ojciec Bonifacy.

— O nie, proszę jegomości, i tatulo jej nie pijali jeno dwa razy dniem: przed śniadaniem i obiadem, a matula, to nie piła jej nigdy i zdrowa dlatego była i żyła długo — bo to ludzie gadają, że wódka do zdrowia pomaga, i do długiego życia sposobnym czyni.

— Ale gdzietam, odpowiedział kwestarz; w miarę tylko użyta może dobrze robić, a gdy ją do zbytku kto pije, przepala wnętrzności i śmierć wczesną sprowadza. Iluż to zupełnie jej nie piją, a żyją długo, a ci, co piją, mrą bez czasu.

— Ale raz, proszę jegomości, rzekł po namyśle Antek, co się przyznam, spiłem się, że mi dotąd o tem wstyd mówić; ale to tak było. Zaniemógł tatulo, a był targ w miasteczku o milę od nas, na którym chciał przedać na rzeź pięknego cielaka, bo mu było pieniędzy na czynsz potrzeba. Otóż mnie wyprawił. Jakem tylko z furą na targu stanął, zaczęli się żydziska do mnie zlatać, a oglądać byczka, a szwargotać, a targować; a co najwięcej, to jeden żydzisko od fury nie chciał odejść, i gwałtem na dobicie targu wciągnął mnie do szynku, i dał kieliszek dobrej wódki i nuż w targ. Dalejże i ja rozochociwszy się, kazałem dać, i tak niebawem nie wiedziałem już o świecie. Żyd zawołał mnie do fury, dobił targu, wziął z niej cielaka i kazał iść za sobą po pieniądze. Ja za nim, on leciał kieby szalony, a mnie się nogi plątały; świat się kołem przed oczami obracał, straciłem żyda z oczu i przepadł na dziś dzień cielak, bo to był handlarz z innego miasta; przepadły i pieniądze, po które niby iść za sobą kazał. Naszukawszy się nadarmo, dowlokłem się do fury, padłem na nią jak nieżywy, a poczciwe koniska zawlokły mnie same do domu i przed progiem stanęły. Wyszedł ojciec z chałupy, budzi mnie, a ja tu ani językiem obrócić. Pyta: przedałeś cielaka? gdzie pieniądze? a tu ani cielaka, ani pieniędzy. Otrzeźwiwszy się, wyznałem ojcu wszystko; dał mi za to uczciwą pamiątkę, a ja też nazajutrz poszedłem do naszego kościółka, wyspowiadałem się przed księdzem proboszczem. I jak mój tatulo, odtąd proszę jegomości nigdy więcej nad kieliszek, a najwięcej dwa na dzień nie piłem, z takimi ludźmi nie wdawałem się, i dobrze mi z tem było, bo mnie nikt nie oszukiwał i do złego uczynku nie namawiał. Ten żyd proszę jegomości, to mi widno coś zadał?

— Ależ wstydź się mój bracie, rzekł kwestarz wierzyć w jakieś zadawania; to się sprzeciwia prawom boskim, albowiem Pismo Święte powiada: że się takimi brzydzi Pan, którzy czarom i gusłom dają wiarę.

Tak rozmawiając, zajechali przed piękny pałac; wysiadł ksiądz kwestarz, a po chwili kazano Antkowi zajechać do stajni, i zatrzymano ich na noc. Nazajutrz po kawie obdarzywszy hojnym datkiem, wyprawiono kwestarza w dalszą drogę, i znów Antek odjechawszy od dworu, począł rozmowę:

— Oj, co ja się napatrzał bogactw, żeby jegomość wiedział; w kuchni to srebrne rądle, a w kredensie łyżek srebrnych i półmisków,

jakem zajrzał przeze drzwi, to jak drew leżało. A lokaje proszę jegomości we frakach z białemi rękawiczkami na rękach chodzą. Jak taki jeden wbiegł do kuchni, to ja się zerwałem na równe nogi, myśląc, że to sam pan, a tu wszyscy w śmiech ze mnie, to lokaj nieboże, mówili; oj, chciałbym ja być kiedyś takim lokajem, rzekł Antek, westchnąwszy.

— Chcącemu niema nic trudnego, miły bracie, odpowiedział ksiądz Bonifacy.

— A kucharz proszę jegomości, mówił dalej, chodzi po kuchni w szlafmycy, wziąwszy się pod boki, a kuchcikom rozkazuje; a w stajni to kieby w pokojach: stangreci chodzą tylko, a gwizdają sobie. Czemu to ojcze jakoś na świecie, pytał Antek, jedni mają więcej, a drudzy mniej; wszak Bóg nasz ojciec, toć On swoje dzieci chyba zarówno podzielił? A teraz ot jedni w pałacach siedzą... jak oto ten pan, a dziedzic tej wsi, z której ja rodem, to był bogacz wielki, ot jak i ten w pałacu, a teraz chodzi z torbą.

— Dzieło to, odpowiedział kwestarz Antkowi, mądrości i sprawiedliwości Bożej. Bóg, jako dobry ojciec podzielił zarówno swe dziatki, bo każdemu z nas dał rozum i wolę, i podług tych rządzić się zalecił; a że często ludzie głosu rozumu słuchać nie chcą, to też przez to źle wolą kierują—naprzykład wystaw sobie furmana, co siadłszy na wóz, źle nim po bezdrożu kieruje, to cóż będzie?

— Jużci się wóz wywali za ladaczem, odpowiedział Antek; ot żebym ja nieuważnie jechał, toby jegomość nieraz jak długi leżał.

— A tak, dalej mówił kwestarz; otóż człowiek jako woźnica kieruje wolą swoją po bezdrożach życia: jak źle zakieruje, gubi się bez ratunku i częstokroć szczęście całego życia w jednej chwili utraca. Ztądto się zdarza, że niejeden urodzony w pałacu później na smutne przychodzi koleje. Często też znowu Bóg sam nagradzając cnoty, zlewa błogosławieństwo w progi tych, co przykazań Jego byli wiernymi stróżami. Ztąd ubodzy stają się panami, a tych, co lekceważyli te święte prawa, szukali wzbogacenia w krzywdzie bliźniego, karą swą dosięga. Czy myslisz miły bracie, że te sługi, coś mi o nich mówił, iż państwa okradają, dobrze na tym wyjdą? Nigdy: kara Boża czy wcześniej czy później dosięgnie ich, i często do tych, którym tacy bezbożnicy krzywdę robili, potem żebrać przychodzą.

— A tak, tak, odrzekł Antek, prawdę jegomość mówi, rychtyk tak, jak ten Maciej, co z wozów usypywał, toć teraz w kuchni naszej żywi się, bo mu ksiądz gwardyan każe z litości jeść dawać, i jeszcze go kalekę karmić polecił. Oj! wolałbym nagłą śmierć, jak takowe pieniądze; toć to z niemi strach przebywać, bo o bożą pomstę nieustannie wołają.

— Ty mój bracie, mówił kwestarz, jak widzę, boisz się Boga, i możesz z czasem, gdy Bóg twe cnoty zrachuje, opływać w dostatki, a może i panem zostać.

— Oj, co też to jegomość gada! odrzekł Antek, śmiejąc się; gdzie ja tam do państwa, prosty zagrodnik, chłop z chłopów!

— Bóg nie patrzy na stany w wymiarze swej sprawiedliwości, odpowiedział kwestarz. On ubogiego częstokroć prostaczka, w którym cnoty upodobał, wynosi do zaszczytu, jak dumnego bogacza zniża do ubóstwa.

— Ale co w tym pałacu, proszę Jegomości, po chwili milczenia dodał woźnica, to szczęścia niema; bo jakem się przed stangretem dziwował bogactwu, to mi odpowiedział: co tam po ich bogactwach... jedzą i piją delicye, i co rok poza morze jeżdżą, i tylko ptasiego im brak mleka, ale kłótliwie z sobą żyją, i czasem po miesięcu do siebie nie gadają. Oj, nie chciałbym takiego ich szczęścia, z całem ich bogactwem, mówił.

— Tak to bywa mój miły, odpowiedział ojciec Bonifacy; kiedy jest złoto, to częstokroć szczęścia w pożyciu niema, a gdzie niema złota, tam bywa miłość. Cóżbyś ty wolał?

— A jużcibym wolał kochanie, odpowiedział Antek, poprawiając się na koźle, bo miłując się, to można i na pieniądze łacniej zarobić i żyć po Bożej woli na świecie. A gdzie kochania niema, to jużci go za pieniądze nie kupi, i tylko człek męki cierpi; ma co jeść, ma co pić, a niema tego, co najmilsze.

Tak rozmawiając, zajechali pod bramę cząstkowego szlachcica, i popasłszy konie, udarowani piękną pszeniczką i smacznem śniadaniem, pojechali dalej. Antek wyjechawszy kawał za bramę, zaczął:

— Tu proszę jegomości, u tego ubogiego szlachcica, widno szczęście większe jak w tym

pałacu, cośmy to nocowali; toć jak dwa gołąbki kochają się.

— A jakże ty wiesz, kiedyś był tam krótko?

— Oj! proszę jegomości, na tem to się od razu człek pozna. Jak weszli do spichrza wydawać dla nas zboże, stałem z worem w progu, to pytał mąż żony: a coby mu dać? Co chcesz, odpowiedziała, jak twoja wola. Ale mężuńciu, a ty mi pozwolisz dać ubogiemu kwestarzowi jakie parę rubelków z tych, com to sobie za len uzbierała? A toć to twoje moja rybko, odpowiedział, to sobie z tem rób, co ci się żywnie podoba, i jak ci najlepiej. Już ja wolę dać kwestarzowi, odpowiedziała, niźli jaki gałgan sobie kupić.

Po takich wędrówkach i rozmowach z Antkiem zajechał nareszcie ksiądz kwestarz do swego klasztoru na odpoczynek, zaopatrzywszy go we wszystko.

Po trzech latach służby w klasztorze Antek wydalił się z niego, z wielkim żalem księdza gwardyana i kwestarza; ale tak mu lokajska służba zajechała w głowę, na którą się po dworach napatrzył, że mu nikt jej z głowy wybić nie potrafił.

W lat przeszło dwadzieścia po wydaleniu się Antka z klasztoru, ksiądz Bonifacy odprawiając, jak to bywa po różnych klasztorach służbę kwestarską, przybył do konwentu Radomskiego, i jak zwykle w dni kilka wyprawionym został po kweście w nieznaną sobie okolicę. W kilka dni wędrówki rzekł do niego woźnica, wskazując piękny dwór, na wzgórzu, który słońce wychodząc z-za churmy, oświeciło.

— Teraz proszę jegomości do tej wsi zajedziemy; dawniej tu kwestarze nie bywali, bo mieszkał pan wielki skąpiec: pierwej nieprzyjemności nagadał kwestarzowi, nim jaki korczyk zboża rzucił na jego furę; niech mu tam Bóg przebaczy. Ale teraz tę wieś kupił pan wielce pobożny, miłosierny, ludzie go bardzo chwalą; ubogiego nie puści od progu, aż go hojnie udaruje. A oto wedle drogi, co do dworu prowadzi, wystawił piękną kaplicę murowaną, w której umieścił obraz Pana Jezusa z jakimś tam napisem.

— No, to jedźmy tam, odpowiedział ojciec Bonifacy, bo w takim domu ubogiego kwestarza powitają chętnie.

— Dojeżdżając do dworu, kazał woźnicy kwestarz stanąć przy kaplicy i wysiadłszy, pomodlił się za jej fundatora. Piękny obraz Pana Jezusa zdobił u dołu napis złotemi literami: *Boże, twoim to cudem.* Przeczytawszy to, rzekł sobie w duchu ojciec Bonifacy: widać pobożne i pokorne ręce wzniosły ten przybytek.

Nareszcie ruszyli dalej i niebawem wjechali na piękny dziedziniec. Była obiadowa godzina, bo właśnie lokaj niósł wazę z kuchni. Zaledwie stanął przed dworem wózek kwestarski, gdy wybiegł naprzeciw niego mężczyzna pięknie przybrany i wykrzyknął:

— Co widzę? wszak to ojciec Bonifacy!

— A! to ty Antku? rzekł kwestarz poznawszy swego woźnicę, a pocałowawszy go w głowę, rzekł dalej. Widzisz go, jak się kwestarski woźnica przybrał popańsku; widać, że lokajska służba powiodła ci się. A są państwo w domu?

— Są, odpowiedział mu Antek z uśmiechem, i przyjmą jak należy; i wprowadził go do sali pięknie przybranej w lustra i obrazy.

— A, bój się Boga Antku, gdzie ty mnie prowadzisz? mam oto nogi zbłocone, powalam tę piękną posadzkę. Pierwej zaprowadź mnie do twojej stancyjki, gdziebym się z błota oczyścił, i ojciec duchowny to mówiąc, począł się cofać ku drzwiom.

— Nie obawiaj się, rzekł Antoni, pierwsze tu miejsce dla ciebie się należy szanowny ojcze duchowny, bo panem tego wszystkiego jest ów Antek, niegdyś twój woźnica.

Ksiądz Bonifacy otworzył usta, a oczy z podziwieniem wlepił w mówiącego.

— Tak, ciągnął dalej Antoni, byłem najprzód twoim, potem własnym zostałem woźnicą. Jakeś mnie ojcze nauczył, kierowałem ostrożnie wózkiem woli mojej po bezdrożach życia, omijałem złe drogi i przepaście z daleka, i równym prostym traktem, który wytknęła cnota, dojechałem tutaj. Spoglądasz z podziwem na dostatki, które mnie otaczają dzisiaj mój ojcze; nie sądź, by je plamił zły nabytek. Rąk moich nie zrosiła łza pokrzywdzonego, którą bym bezbożnie śmiał wycisnąć, lub hańbiła krzywda mego bliźniego, którego Bóg mi całem sercem kochać zalecił; praca sumienna, błogosławieństwo Boże, oto sprawcy cudu, który twe oczy zdumiewa.

I to mówiąc, Antoni poprowadził dalej kwestarza do sali jadalnej, gdzie rodzina Antoniego oczekiwała na nich. Po obiedzie zaprowadził Antoni ojca Bonifacego do osobnego pokoju i opowiedział mu o sobie w tych słowach:

Odprawiwszy się z klasztoru, oporządziłem się jak należy, abym nie wyglądał na woźnicę. Namówiono mnie, abym pojechał do Warszawy i tam wszedł w służbę. Tak i zrobiłem. Niebawem za przybyciem do tego miasta przyjąłem obowiązki u bogatej pani, wdowy już w wieku będącej. Wkrótce postępowaniem mojem zjednałem sobie szczególną jej przychylność tak, że zajęła się losem moim. Dobra pani widząc szczególną chęć moję do uczenia się czytać i pisać, kazała mnie uczyć. Cztery lat wysłużywszy u niej, gdy już umiałem dobrze czytać, pisać i rachować, poczęła o polepszeniu losu mego myśleć, mówiąc, że zawsze rada nieść pomoc sprawiedliwym; i ożeniwszy mnie z pokojową swoją, z którą pokochaliśmy się serdecznie, umieściła nas u swego krewnego na wsi. Ja byłem dozorcą nad folwarcznymi ludźmi, a żona moja gospodynią. Gdyśmy na nowe osiedliny wyjeżdżali, mieliśmy: ja złp. 300 oszczędzonej gotówki z zasług, żona moja takoż miała złp. 200; dobra zaś pani, gdyśmy się z nią żegnali, dała nam w podarku na krowę złp. 200, mówiąc wieszczym duchem: służcie wiernie jak dotąd, a dorobicie się dostatków.

Objąłem nowe obowiązki, szło nam jak najlepiej; ja wiernie swego, żona swego pilnowała. Na drugi rok kupiłem, za pozwoleniem pańskiem, parę pięknych krówek, z których nabiał w poblizkiem miasteczku spieniężaliśmy; co nam czyniło piękny dochód. Ze służby naszej był pan wielce zadowolniony; pilnowałem jego dobra wiernie, żona zaś ze swej strony strzegła wszystkiego jak oka w głowie. Rok rocznie pan dobry powiększał nam płacę za wierne usługi, że z pracy naszej i hojności mego dobrego pana, w ósmym roku służby leżało tysiąc rubli w kuferku żoninym. Byłem już wtedy jako rządca, bo co rok w nagrodę wierności posuwał mnie pan wyżej; w dziesiątym roku służby mojej umarł on z wielkim naszym żalem. Zjechała się familia, otworzono testament, w którym rozpisawszy majątek jak mu się spodobało na familie i klasztory, bo był bezżenny, przy końcu jego te słowa dodał: A zaś Antoniemu, najwierniejszemu słudze i przyjacielowi mojemu leguję rubli srebrem tysiąc pięćset, za wierne pełnienie obowiązków; żonie zaś jego za prowadzenie sumienne gospodarstwa kobiecego przeznaczam takoż rubli srebrem sto pięćdziesiąt. Zaraz na pogrzebie wielu panów starało się, bym u nich obowiązek przyjął, znakomitą przeznaczając mi pensyę. Ale chcieliśmy już na siebie pracować, bo obliczywszy nasz majątek, znaleźliśmy się posiadaczami z zapisem i pracą naszą siedmnastu tysięcy gotówki. Postanowiliśmy wziąć sobie za te pieniądze dzierżawkę; poczęli odradzać nam ludzie, mówiąc, że często na dzierżawach tracą. Żona moja chwiać się zaczęła w postanowieniu; widząc to, zapytałem jej:

— Karolino, czy w pieniądzach, któreś z taką pracą zbierała, jest grosz zakazany, nie uczciwie przez ciebie zdobyty?

— Uchowaj Boże, krzyknęła moja żona. I w moich rzekłem, niema feniga źle nabytego; zatem użytek z tych pieniędzy za łaską Boską musi nam korzyść przynieść. I nareszcie wzięliśmy za sześć tysięcy piękny folwarczek wpobliżu dawnego siedliska. Ojcze, nie wiem, jak ci tu mam wyrazić łaskę Boską, mówił Antoni, łzawe oczy wznosząc ku niebu. W lat ośm bowiem obok rolnego prowadząc gospodarstwo przemysłowe, wywiozłem z tej dzierżawki 200,000 gotówki, i kupiłem zaraz majętność, której dziś jestem panem. Oto cała tajemnica tego, co twe oczy ojcze Bonifacy widzą. Upatrując w tem cud Boski tylko, wzniosłem kaplicę i u podnóża Zbawcy ludów wyraziłem słowa: *Twoim to cudem*

W przygasłych starością oczach kwestarza błyszczały łzy rozczulenia. Oby, rzekł mu, wszyscy jak ty żyli na świecie, przyszłoby owo królestwo Boże na ziemię, którego na darmo oczekują wybrani, bo jego przyjście opóźniają tylko grzechy nasze; i rozpłakał się na piękne ksiądz Bonifacy, wspomniawszy, jak nieroztropni ludzie sami odpychają szczęście od siebie.

Długo jeszcze ksiądz kwestarz rozmawiał z Antonim; dopiero dnia czwartego z trzema furami zboża i hojną w kieszeni zapomogą dla klasztoru wrócił do domu.

Tajemnica szczęścia, za którem ludzie

częstokroć na próżno gonią, wyrzekając na losy, leży w cnocie samej; życie uczciwe, a szczęście pewne, jak pewną jest wieczność, co nas po-za wrotami grobów oczekuje.

Nasze wsie i miasteczka.

—

W którąkolwiek stronę kraju zajrzymy, wszędzie u nas ludzkich siedzib smutny przedstawia się widok. Rzadko gdzie trafi się ujrzeć porządną osadę, do której dbały gospodarz pracowitej przyłożył ręki, gdzie ład i schludność oznacza dobry byt i zamożność mieszkańca. Mnoga ludność od wieków gnieździ się w chałupach bez porządku i wygody stawianych, pomiędzy któremi wiele jest budynków drewnianych walących się od starości, z dachami dziurawemi, lub strzechami ze słomy obdartemi. W podwórzach śmieciska i kupy gnojów tamują przejście, ulice błotniste i krzywe, porozwalane płoty przedstawiają obraz pustek i nędzy; aż żal patrzeć na takie opuszczenie i niedbalstwo. Nigdzie niema posadzonej drzewiny, gdzie-niegdzie tylko tkwi jaka krzywa i próchniasta wierzba, której siekiera jeszcze nie docięła, a świnie do reszty nie podryły!..

Tak to wygląda u nas wieś, w czystem polu, szara i zakopcona jak szałasy w stepie, bez zieloności dającej latem upragniony cień i miły po pracy odpoczynek w chłodzie, bez sadku darzącego pożywnym owocem, jakiego wszyscy łakną, a nie starają się mieć przy swojej zagrodzie, co tak łatwo przecież posiadać można, byleby tylko chęci do zaprowadzenia tego nie brakło.

Mniej jednak dziwić się przychodzi w tej mierze włościanom, nie mającym swojej własności, siedzącym na cudzym gruncie, z obowiązkiem odrabiania pańszczyzny, gdzie częste zmiany dziedziców, z niepewnością posiadania siedziby połączone, nie zachęcają do jej przyzwoitego utrzymania i starania się o polepszenie dla siebie wygód. Ale miasteczka, w których zasiadł lud niezależny mający swoję własność, gdzie kwitnąć powinien handel i przemysł, a przy lepszym bycie i swobodzie wzmagać się powinny czynny ruch i życie, czemże po przejściu tylu pokoleń różnią się od wsi opuszczonej? Oto na setki liczyć można tych brudnych siedlisk, w których mieści się lud ubogi i ciemny, chociaż w grunta i lasy oraz różnemi przywilejami królów bogato uposażony, próżniactwu wszakże i pijaństwu po większej części oddany, w gusła i zabobony wierzący, o dobry byt i przyszłość niedbający. Nędza tam z każdego kąta przeziera, nieraz brak pożywienia i okrycia, a mimo to kłótnie, bitwy i procesa nieustanne są tam jedynem zatrudnieniem głów niespokojnych, zamiast zajmowania się pożyteczną pracą, rzemiosłem lnb handlem, jakowe sposoby zarobkowania samo żydowstwo ogarnęło. Bałamuctwo i opuszczenie się we wszystkiem doszło do tego stopnia, że gospodynie miejskie mieniące się obywatelkami, nie mają czasu uprząść sobie nici, i utkać płótna na koszule, obywając się kupnemi bawełnianemi, dlatego, że tańsze. Gospodarze zbierają zboże z pola o Stym Marcinie, a sieją oziminę, kiedy na przedzimku śnieg padać zaczyna! O przednowku już i nie pytać. Mrą głód sami i bydlęta ich wynędznione, żywiące się w niedostatku paszy na posiewach, które pospołu z gęśmi i świniami niszcząc, tratują, albo też jedni drugim szkody w polach i łąkach spasaniem wyrządzają.

Tak to nasz stan mieszczański w większej części kraju zrozumiał swoje powołanie, na to używa swojej swobody, i tak korzysta z nadanych sobie posiadłości, praw i przywilejów, których przez niedbalstwo i podstępy oszustów wiele już poutracał bez nadziei odzyskania. Obszerne i piękne dziedziny w gruntach, łąkach i lasach przeszły w obce ręce, albo sprzedane za marne pieniądze, obrócone zostały na przepicie w szynkach, lub też wydarte są nieukom przez grabieżców szukających dorobku z cudzej własności.

W innych krajach, miasta i wsie wszystkie są murowane, każdy kątek gospodarnie i pięknie zabudowany, grunta należycie uprawne chleb rodzące, trzody prześliczne, sady jak gaje, taką obfitość owoców dające, że z nich część pośledniejsza idzie na pożywienie dla trzody chlewnej, wszędzie dobry byt i zamożność znamionująca błogosławieństwo Boże; kiedy u nas wszystkiego tego brakuje, dlatego, że niema statku i pracy, a do dobrego woli i ochoty. Kochany ludek zapomniał

o Bogu, o domu i rodzinie, której winien lepszy los obmyśleć i siebie uzacniać, a na frasunek w biedzie szuka pociechy w kieliszku, wyglądając pomocy z nieba!

Czas już i dawno obudzić się z długiego letargu i zacząć nowe życie, ojcom poprawiać błędy swoje, a synów na drogę zbawienną prowadzić. Złe postępki wiodą do zguby; biada tym, co dając gorszące przykłady, ciągną za sobą innych na rozstajne drogi! Żadne zgromadzenie tam nie obejdzie się, żeby nie popełniono jakiej nieprzyzwoitości albo głupstwa, żeby z grubijańskich żartów nie przyszło do zwady i ulicznego zgiełku, z którego odbywają się sądy w ratuszu. W dnie świąteczne po nabożeństwie nie idą jak przystoi do domów swoich, ale starzy i młodzi, sąsiedzi, przyjaciele i kumoszki, sznurem jak żórawie ciągną na posiłek z kościoła prosto do karczmy; zamiast schadzki na przyzwoitsze miejsce, gdzieby w poobiedniej porze poważni i rozsądni gospodarze i gospodynie zabawić się mogli pożyteczną i budującą dla młodzi rozmową, lub radzić o wspólnych potrzebach, którym niema końca, a które połączonem staraniem i wzajemną pomocą najskuteczniej załatwić można.

O takich schadzkach i naradach, nietylko we wsiach, ale i w miasteczkach naszych jakoś nie słychać. A jest wiele o czem myśleć i rozprawiać, nie tak jakto bywa na jarmarkach przy litkupie, gdzie podchmieleni prawiąc bzdurstwa i nic do rzeczy dzień cały, w nocy potem błędni do domu wracają i nieraz do niego trafić nie mogą, albo też gdzie na drodze przenocują. O! jest wiele o czem lepszem radzić, jakoto: o poprawieniu swego bytu przez podniesienie gospodarstwa staranniejszą uprawą roli, utrzymanie dobytku, obmyślenie jakiego uczciwego zarobku, prowadzenie korzystnego rzemiosła, wreszcie nauczenie się czego pożytecznego, dla przysposobienia sobie wygód i powiększenia szczupłego mienia. Jest o czem jeszcze radzić: jak utrzymać porządek i ład we wszystkiem, jak postępować w domu i za domem, jak się rządzić z rozumem w różnych życia przygodach, jak wychowywać dziatki i kierować na dobrych ludzi, oraz jak dopełniać uczciwie obowiązków swojego stanu.

Wszystko to są rzeczy dla każdego bardzo ważne; kto zaś o tem nie myśli, nie zastanawia się nad sobą, i przez nieuwagę lub niedbalstwo błądzi, nie dziw, że mu źle jest na świecie; nikt też go dobrem słowem nie uczci i nie uszanuje, obchodząc się z nim jak z prostakiem i nieukiem, który i między swoimi nic nie znaczy, i do wyższych stanów przystępu przez to nie znajdzie. Bez światła i nauki człowiek radzić sobie nie potrafi; praca jego mało mu pożytku przyniesie, a jako ciemny, pomiędzy oświeceńszymi nie pomieści się i w poniżeniu zostawać musi.

Wiele w tej mierze jest do powiedzenia, co ludziom takiego stanu czynić, jak się sprawować i postępować należy, ażeby oni w położeniu swojem do lepszego bytu i znaczenia w w świecie przyjść mogli. Chcącemu niema nic trudnego. Do poznania prawdy i obrania zbawiennej drogi życia, przy dobrej chęci nie wiele potrzeba. Nie omieszkamy radzić i oświecać wedle naszej możności; teraz zaś na tem kończąc, dalsze uwagi do drugiej pogadanki odkładamy.

Od Redakcyi.

Nadesłane do Redakcyi Czytelni Niedzielni Niedzielnej dla PP. Marjawitek w Częstochowie:

Od N. N. przez stacyę Michałowicką	Rs. 3.
Z Żytomierza na intencyę Bolesława, Józefy, Oktawii i Antoniny.	16.
Od D. K. z gub. Podolskiej powiatu Latyczewskiego . .	10.
Grosz wdowi z tegoż miejsca od A. K.	1.
łącznie	Rs. 30.

Wszystkie te ofiary w czasie właściwym były wręczone do rąk wielebnej Pauliny Jellec przełożonej Zgromadzenia panien Marjawitek.

W druk. J. Ungra.—Wolnodrukować.—Warszawa d. 23 listopada (5 grudnia) 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*